

# Prezent z Misją w Kopenhadze



**D**rugi rok akcji był pełen wyzwań. Nie wiadomo było, czego oczekiwać po sukcesie pierwszego roku. Czas uciekał a druga edycja Prezentu z Misją organizowała się bez planu. Rodzina jakoś musi dać radę w Polsce, a ja – „głównodowodząca” – wyjechałam jesienią na studia do zupełnie obcej mi Danii. Ale wzięłam ze sobą skrzynkę świeżo pomalowanych mikołajów.

Początki w nowym miejscu pochłaniały czas i zdystansowały mnie do wydarzeń w Warszawie, a strach przed samodzielną organizacją sprzedaży mikołajów w Kopenhadze rósł. Wiedziałam, że rodzina może liczyć na bezcenną pomoc Społeczności Chrześcijańskiej „Puławska”, która z wielkim entuzjazmem wsparła nasz projekt za pierwszym razem. Ale ja musiałam radzić sobie sama. Udało mi się zdobyć miejsce na targach świątecznych na ulicach Kopenhagi w jeden z grudniowych weekendów. Człowiek, u którego wynajmowałam pokój, użyczył mi sporą przyczepę do roweru, na którą zapakowałam mikołaje i materiały na prowizoryczne stoisko, które mój zaradny gospodarz również pomógł mi skompletować. Ruszyłam pod górę i pod wiatr pocieszona tym, że nie będę stać sama, bo wśród nowych znajomych znalazłam wsparcie na ten dzień. Koleżanka jednak wkrótce mnie powiadomiła, że dopadło ją przeziębienie i nie może przyjść. Zostałam sama.

Myślałam o rodzinie, jak im tego dnia idzie na targach w Warszawie, żeby zapamiętać o tym, że wieje coraz mocniej, że prawie nie czuję już kończyn. Czas się włókł, mikołaje słabo się rozchodziły. Zainteresowane nimi były głównie kobiety i dzieci. Wypracowałam sobie krótką formułkę, która miała zachęcać przechodniów do zakupu: rodzinny projekt, aby pomóc dziewczynkom w Kambodży, całkowicie charytatywny cel...

Nadszedł moment, kiedy nie myślałam już o niczym innym, jak tylko o kubku gorącej herbaty. Nie wiedziałam, gdzie mogłabym ją kupić. Nie mogłam odejść od stoiska. A przede wszystkim – nie miałam ze sobą pieniędzy, a środków zarobionych dla dziewczynek nie tknęłabym, nawet nie pożyczylabym, nie ma mowy.

Zdażyłam wymienić kilka uśmiechów z dziewczyną ze stoiska z naturalnymi kosmetykami naprzeciwno. Niewielki miała ruch. Z ciężkim sercem chwyciłam szkatułkę z pieniędzmi, których obiecałam sobie nie dotykać, i podbiegłam do niej, prosząc, by spojrzała na moje stoisko, kiedy skoczę po coś na rozgrzanie, bo zamoram. Zgodziła się, więc w pośpiechu szukam, gdzie serwują coś ciepłego.

Jest! Kakao! Gorące, z bitą śmietaną. Płacę monetą – 20 duńskich koron i wracam na swoje miejsce. O smaku tego kakao mogłabym pisać wiersze, ale nie jego smak okazał się tym, co tego dnia zapamiętałam najbardziej. Ciepły napój i odrobina słodczy pozwoliły mi dotrwać do końca planowanej sprzedaży. Podeszłam do dziewczyny ze stoiska naprzeciwno, by porozmawiać. Zobaczyłam, że do mojego pustego stanowiska podchodzi mężczyzna. Mężczyzna! Żaden dziś niczego nie kupił, więc chyba nie warto wracać. Ale słyszę w głowie zdecydowany głos – idź. Wracam i zaczynam formułkę.

Patrzę na jego twarz: ciepły uśmiech i oczy pełne zrozumienia. Delikatnie przerwał mi recytowanie mojego sprzedażowego monologu, mówiąc: „Biorę, poproszę tego małego”. Pakuję mikołajka, wycenianego na 40 koron. Tego dnia wszyscy płacili raczej przelewem przez telefon. Ten człowiek wyciągnął do mnie zamkniętą dłoń i wysypał na moją rękawiczkę trzy monety, 20 koron każda. Zwróciłam mu uwagę, że to o 20 koron za dużo, a on na to, że nie, bo dokładnie tyle płaci.

Patrzę na tę dodatkową monetę. 20 koron – tyle właśnie po-

trzebowałam na kakao i z taką przykrością wyciągnęłam ze szkatułki. Podnoszę wzrok. Mężczyzny już nie ma. Uliczka opustoszała. Zniknął. „Kakao od nieznanego” pojawiło się jeszcze dwa razy w kryzysowych momentach, przypominając mi, że nie ma najmniejszej rzeczy, o którą Pan Bóg by nie zadbał, abyśmy mogli wypełniać swoje powołanie. Bóg jest doskonałym Ojcem.

A tymczasem Prezent z Misją w Warszawie był wielkim sukcesem reszty rodziny, która dzielnie malowała i sprzedała rekordową ilość mikołajów.

PAULINA DUDKIEWICZ



foto: Prezent z Misją